

Strwożony Bożydar

Wielgachny Bożydar, ponaddwudziestoletni pół-Ślązak, już od samiuchnego brzasku roztrząsał językowe zagwozdki. Niestraszna mu była jesienna chlapa i mżawka. Żądny ortograficznego współzawodnictwa, chyżo zdążał do Jaworzna. Droga nie szczędziła mu złowróźbnych omenów. Już w wąskotorówce przyszło mu spotkać nie lada rozsrożone stworzenie. Istne to było kuriozum! Ohydne indywiduum spozierało spode łba.

- Bileciki do kontroli! – niemożebnie rzeziła kreatura.

Półprzytomny Bożydar pierzchnął, aż się kurzyło. Hardo wbiegł na pobliski pasaż. Skołatane serce Bożydara znów się strwożyło. Arcygroźny dźwięk chichotu autochtonicznych chuliganów wydawał się być wręcz histeryczny. Ci niby-jeźdźcy Apokalipsy, ni stąd, ni zowąd, poczęli przekomarzać się po cerkiewnosłowiańsku. Bożydar struchlał nie na żarty. Dyktando tuż-tuż, a tu takie bezprecedensowe siurpryzy!

Wreszcie dotarł do celu. Sala pękała w szwach. Serce półprzytomnego Bożydara grzmociło ponadprzeciętnie. Chłopczyna przycupnął nieopodał pulchnej, pachnącej hibiskusem damulki. W rękę dzierżył chabrowy długopis, który na co dzień spoczywał w ciemnofioletowym etui.

Bożydar wiedział, że ortograficzne mistrzostwa to nie żadne hocki-klocki. Zrazu przypomniały mu się wszelkie *gzegzólki*, *żupany* i *pohulanki*... Znużony oczekiwaniem spojrział z półuśmiechem na jury.

- Zaczniźe dyktować! – wykrzyknął. Żądza tytułu arcymistrza ortografii okazała się niewyciężona.

